

## *Pokolenie*

Byliśmy pierwszym pokoleniem, które testowało na sobie różne zdobywcze techniki. Reforma edukacji, komórki, komputery, Internet, cyfrowe animacje Disneya i pornografia. Kolejne ciosy w twarz, zaskoczenia, wyzwania i możliwości. Pamiętam, jak kiedyś Klakier przyniósł do szkoły komórkę. Ważyła chyba ze dwa kilogramy, była wielka, nieporęczna i nikt z nas za bardzo nie wiedział, jak się nią posługiwać, ale każdy chciał mieć ją w ręku. To nic, że zwyczajnie nie mieliśmy do kogo dzwonić ani nikt do nas nie dzwonił, ale upajaliśmy się tym wynalazkiem jak narkotykiem, powoli krążącym w żyłach i oddziałującym na nasze naiwne dusze. Swoją drogą wkrótce też mieliśmy okazję przetestować empirycznie prawdziwość opowiadań rodziców o szkodliwości środków odurzających. Pamiętam, że za pierwszym razem, gdy paliłem marihuanę, nie czułem nic szczególnego. Może trochę wyostrzyły mi się zmysły, ale za takie uczucie nie warto było tyle płacić. Kto wie, pewnie wcisnęli nam wtedy majeranek, a my – nieświadomi – czuliśmy się jak królowie życia, śmiejąc się, plotąc różne głupstwa i mając śmiechawę ze wszystkiego, jakbyśmy złapali Pana Boga za pięty.

Ale cóż nam pozostawało innego niż śmiech, gdy byliśmy tylko produktem pośrednim, pokoleniem przejściowym, stworzonym dzięki pomyłce radzieckich inżynierów w Czarnobylu. Niewidzialna siła promieniowania przenikała przez nasze wątłe ciała, jednym zostawiając w spadku spierdolenie umysłowe, innym nieprzydatne do niczego talenty, jeszcze innym niezbywalne poczucie ironii, a chyba wszystkim świadomość, że podobnie jak za wszystkie inne

produkty sprowadzane ze Wschodu, za ten również przyjdzie nam słono zapłacić. I zapłaciliśmy. Utratą zaufania do ideologii, socjalizmu, kapitalizmu, solidarności, technologii, Boga i człowieka. No i alergiami na wszystko.

Ale człowiek musi po coś żyć, więc i my chwytałyśmy się wiary w to, co mogliśmy. Mozolnie budowaliśmy samych siebie i w tych zamkach na piasku stawialiśmy kryształowe figurki przyjaźni, miłości, szlachetności. By potem patrzeć jak nasze budowle pożerane są przez fale zmian. Urodziliśmy się jeszcze w państwach ludowych, z których nie pamiętaliśmy nic prócz mignięć kolejek i może ojców wracających kompletnie zalanych do domów. Przez ZOMO, nie wódkę. Potem socjalizm zaczął umierać. A umierał w stylu idola, którego wyniósł na pomniki. Syfilytycznie i nie do końca. Dzieciństwo było odróżnianiem skali szarości w państwie, które nie spełniało niczyich oczekiwań. Bawiliśmy się na ugorach i wiecznych placach budowy, należących do państwa, czyli do nikogo. Szybko poznawaliśmy znaczenia nowych, nieużywanych wcześniej słów, jak „kredyt”, „żyrant”, „giełda” i „bankructwo”. I oczywiście byliśmy zbyt młodzi, by aktywnie uczestniczyć w szaleństwach czasu transformacji. No, chyba że naszym rodzicom się udało lub upadli na bruk. Większość jednak wybrała najbardziej pospolitą ścieżkę – przeciętność. Ktoś otworzył firmę, by potem szybko ją zamknąć, innym zabrakło odwagi nawet do tego, jeszcze inni poprowadzili interes przez parę lat, by wycofać się do pozycji wyjściowych. Nie jest łatwo zostać królem życia.

Kilka lat później sami to zrozumieliśmy. Mimo nastoletnich, równie wspaniałych co nierealistycznych planów świat jakoś nie chciał paść przed nami na kolana, co zresztą nie przeszkadzało nam marzyć dalej. Bo któż nas rozlicza

z pogrzebanych chęci? Chyba tylko rodzina, czasem partnerzy, a najczęściej śmierć.

Za dużo tych historii, zbyt wiele wspomnień, wątków, postaci przewijających się przez całe życie, jak tłum ludzki przedzierający się przez bramki lotniskowe i prześwietlany w poszukiwaniu broni, narkotyków czy innych rzeczy nam przyrodzonych, od których nie potrafimy uciec, i nie potrafimy wykrzewić, w tej wiecznej wędrówce do naszych idealnych początków, wyobrażeń wymykających się regułom realnego świata, rzeczywistego zła, wszechobecnego brudu, złości i piekła, tworzonego przez samą współobecność.

Wtedy właściwie było nam to obojętne. Mieliśmy swoje ideały, w które wierzyliśmy, dziewczyny, w których chcieliśmy widzieć anioły, przyjaźnie, co do których żywiłiśmy złudzenia, że nigdy się nie skończą, i marne kieszonkowe, za które udawało nam się kupić „bombę” i wodę gazowaną dla rozcieńczenia jej zawartości. Czasem, kiedy impreza przedłużała się do godzin nocnych, kupowaliśmy w pobliskiej piekarni na lewo świeżo wypieczony chleb – naszą strawę nie tylko duchową. I jedliśmy to pieczywo, parzące nas w ręce, bo dopiero co było wyciągnięte z pieca, a smakowało lepiej niż czarny kawior, niemieckie czekoladki, malibu z mlekiem i w ogóle cokolwiek, z czym mieliśmy do czynienia, bo było nasze, spożywane w najlepszym towarzystwie i sycące nie tylko melanżowy głód, ale to młodzieńcze pragnienie stuprocentowego szaleństwa, improwizowania za pomocą wątych, dostępnych środków i wyciskania z życia samej jego esencji.

Tacy byliśmy.

Nie osądzi nas historia, nie zapamięta literatura, nie przeklną potomni.

Rozpłyniemy się w tyglu jednostek bez twarzy, kolektywu bez celu, rozwiążności bez granic.

Pozostaniemy śmiechem ludzkości, przypisem do epoki schyłku, pustym echem świetności przodków. Ale wygląda na to, że większość z nas i tak ma to w dupie.

## Pies

Mówiliśmy na niego Pies, co wzięło się stąd, że codziennie ustawiał w komunikatorze internetowym status *Like a dog*, w pełni oddający specyfikę jego związków z kobietami. To był jego rytuał, mantra, czynność, którą wykonywał wyłącznie dlatego, by nie zapomnieć o upokorzeniach, jakie stały się jego udziałem. Mimo pewnej banalności porównanie do psa wydawało mu się najwłaściwsze i ujmujące istotę problemu. W języku polskim każde zestawienie człowieka ze zwierzęciem wiąże się gdzieś na końcu z obelgą, niezależnie od tego, jakie są pierwsze skojarzenia z tą mniej doskonałą od nas istotą. Jeśli na przykład powiemy, że ktoś bywa pracowity jak wół, nie będzie to oznaczać dla tej osoby niczego dobrego. Wół pracuje ciężko, ale jest zbyt głupi, by zbierać owoce swojego wysiłku, z czego skrupulatnie korzysta właśnie człowiek. A najlepszy przyjaciel ludzkości, pies, kojarzy się z wiernością, w specyficznym jednak wydaniu, bo straceńczo-poddańczą, bezwzględną i ślepą. Wierność psa ma w sobie skazę bezwarunkowości i jako taka stoi w całkowitej sprzeczności z fundamentem etyki chrześcijańskiej, jakim jest wolna wola. Wybór nie istnieje, refleksja nie nadchodzi.

Innymi słowy, dał się on poznać jako pies na baby, nieodpuszczający żadnej okazji, by zdobyć uznanie przedstawicielki płci przeciwnej, zwłaszcza tych ładniejszych, bo chrześcijańskie miłosierdzie w tych sprawach było mu tylko zawadą. Co ciekawe, nie należał do osób odznaczających się jakąś szczególną urodą, był zwyczajny: ani szpetny, ani piękny. Wyróżniało go jednak „parcie na tarcie”, no i to,

że nie odpuszczał, choćby sytuacja wydawała się najbardziej przegrana. Sławę zyskał, kiedy ignorując któreś z kolei stanowcze „nie”, udał się za upatrzoną miłością do jej domu i niewpuszczony za drzwi, postanowił przespać się na wycieraczce, oczekując przebudzenia swojej pani. O szóstej rano, przemarznięty, skacowany, niepamiętający zbyt wiele z poprzedniego wieczoru i zaskoczony nocą spędzoną pod obcymi drzwiami, postanowił jednak wrócić do siebie, myśląc, że chyba nic z tego nie będzie. Żegnało go smutne spojrzenie jej starego psa, któremu nie chciało się nawet na niego czekać.

Jeżeli przyjmiemy, że charakter człowieka kształtowany jest przez czyny, myśli i wydarzenia, te niebyłe i te zasze, to psowatość Psa najjaśniejszym blaskiem objawiła się właśnie wtedy, podczas deszczowej nocy spędzonej na wycieraczce w rozpaczliwej wierności odległym ideałom, podszytej nadzieją na niespodziewaną – i diametralną zmianę własnego losu. To wówczas Pies stał się Psem, a że wypadło to akurat ósmego marca, tym łatwiej było mu tę datę utrwalić w pamięci swojej i innych, dzięki czemu nawet wiele lat później wiedzieliśmy, że Dzień Kobiet może być czymś więcej niż najporządniejszym z komunistycznych świąt, a mianowicie dniem powtórnych urodzin kolegi (czyli jedną okazją do wypicia więcej).

Jakiś czas potem Pies zaszył się w domu, nie odpowiadając na esemesy, nie odbierając telefonów i będąc niedostępnym na czacie. Trwało to chyba ze dwa miesiące. W tym czasie czytał różne dziwne książki, od poradników typu: *Jak osiągnąć sukces w trzy dni do Listów Seneki*, no i namiętnie grał w Tibię, idiotyczną grę komputerową, która cieszyła się ogromnym powodzeniem wśród dzieci Neostrady. Myliłby się jednak ktoś, kto posądziłby go o cofanie się

w rozwoju. Wszystkie swoje wirtualne postaci sprzedał wkrótce za godziwą sumkę na Allegro, a następnie zapisał się na kurs uwodzenia w Warszawie.

Wrócił odmieniony. Dawna nieporadność na parkiecie stała się tylko wspomnieniem, a mozolnie budowane gadki o wszystkim i o niczym zostały zastąpione przez słowa wywołujące uśmiechy politowania na twarzach kolegów, ale trafiające do serc i trzewi zamierzonych odbiorczyń.

Nie trzeba było długo czekać na pierwsze tego efekty. Używając nowych umiejętności, Pies poderwał w bibliotece Jolę, dziewczynę, która może nie była ideałem urody dla szeroko pojętego ogółu, ale za to idealnie wpasowywała się w jego kanon dobrego smaku. Pokorna, delikatna, o uroczym uśmiechu i spojrzeniu cielątka prowadzonego na rzeź.

Tak oto zyskał on swoją pierwszą miłość, a my – okazję do nabijania się z jej zasad moralnych, tworzących swoistą barierę ochronną przed pokusami tego świata. Jako goriwa katoliczka, nie mogła przeboleć, że Pies udał się kiedyś z nią do kościoła, będąc na potężnym kacu po sobotnim chlaniu, szybko więc skróciła mu smycz i zabroniła częstego spotykania się z nami. W zamian udało mu się dojść do drugiej bazy, czyli bawić jej drobnymi piersiami. Sukces ten, choć niewątpliwy, okupiony został dużymi stratami. Życie towarzyskie Psa przestało istnieć, od tej pory liczyła się już tylko Jola, jego ukochana pani.

Wkrótce nadszedł czas na łamanie kolejnych barier. Po długich wahaniach Pies oświadczył się swojej wybrance, w nadziei, że spędzi z nią resztę życia, no i zdobędzie trzecią, upragnioną bazę, na którą mógł do tej pory tylko patrzeć pożądanym wzrokiem. I kiedy widmo pierwszego ekipowego wesela zaczęło nabierać realnych kształtów, stało się coś niespodziewanego. Pies odwiedził mnie

w Lublinie, gdzie oczywiście uderzyliśmy w melanz w naszym dobrym stylu – nierozważnie i romantycznie, jeśli romantyzmem pijaństwa można nazwać wieczne poszukiwanie tego jednego jedyne go baru, gdzie człowiek czuje się jak w rodzinnym domu. I nagle, nie wiedząc jak, nie wiedząc czemu, znaleźliśmy się na parkiecie najbardziej burżujskiego klubu w Lublinie, tańcząc z jakimiś dupeczkami, które wtedy wydawały się nam najpiękniejsze na świecie, bo cała rzeczywistość lśniła w swojej wspaniałości, wygładzona alkoholem i poczuciem afirmacji chwili, które zapewnia tylko przyjaźń lub miłość.

„Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga, łam, czego rozum nie złamie” – myślałem sobie rano, bezowocnie próbując odtworzyć wydarzenia poprzedniego wieczoru. Zastanawiałem się też, gdzie zgubiłem Psa, bo nie wrócił ze mną tej nocy do akademika.

Po kilkunastu daremnych próbach dodzwonienia się do niego zabrzmiał wreszcie dźwięk esemesa. Nieznany numer. „Jestem u Klaudii, poznałeś ją wczoraj. Chyba zostanę tu na dłużej. Ślubu nie będzie, pozdro 600+66”.

Koniec czegoś jest przecież zawsze początkiem czegoś nowego.

Trudno było spojrzeć jej prosto w oczy. Naturalny biust o rozmiarze E zawęził pole widzenia w skuteczny sposób i utrudniał myślenie o czymkolwiek innym. W ogóle ich związek z Psem opierał się na trzech rzeczach: paleniu ziołka, picu i pierdoleniu, bo trudno określić innym mianem odgłosy, jakie wydobywały się z ich pokoju przy zamkniętych lub otwartych drzwiach na imprezie. I chyba to tylko tyle, co mogę o nich powiedzieć, bo przez dwa lata widziałem ich może ze cztery razy, choć mieszkaliśmy w jednym mieście. Planowali też ślub, ale ona, widząc, że w Polsce nie

ma czego szukać po ukończonej pedagogice, stwierdziła, że warto spróbować ułożyć sobie życie w Anglii, albo przynajmniej zarobić tam trochę grosza na start. Tak też zrobili.

Po trzech miesiącach dostałem esemesa z nieznanego zagranicznego numeru: „Odebrałbyś mnie z lotniska? Wracam za trzy dni. The Dog”.

Zdziwiła mnie liczba pojedyncza, ale jakże mógłbym odmówić?

Zdradziła go z jakimś Murzynem, od którego dostał potem jeszcze wpierdol. Zbity, z podkulonym ogonem, wrócił do K., na pewne bezrobocie, ale przynajmniej do swojej budy.

Próbował też wrócić czas kijem, ale dowiedział się, że Jola zmieniła wyznanie, wyszła za syna luterańskiego pastora w Gdańsku i ponoć bezskutecznie stara się o dziecko.

Klaudia z kolei została gwiazdą – wystąpiła w kilku rozbieganych sesjach zdjęciowych w UK oraz zajęła tam drugie miejsce w konkursie na najpiękniejsze piersi Wysp.

Coś się zyskuje, coś się traci.

Kiedyś ktoś powiedział w Czernobylu, że w życiu prawdziwie kocha się tylko raz, a wszelkie ciągi dalsze, próby, rozstania i powroty są świadectwem nie tyle miłości, ale przywiązania lub gonitwy za czymś nieuchwytnym.

– A jeśli miłość jest tym czymś nieuchwytnym? – pytałem wtedy.

– Dla mnie nigdy nie była – usłyszałem w odpowiedzi. Pies uporczywie milczał.

## Wybór

Szklanka bourbona zmieszanego z lodem i tanią colą. Niedysiejszy prezent urodzinowy. Potem skończyło się urządzenie imprez, a wraz z nimi wszystko. Piątkowy wieczór. Puste mieszkanie, głuchy stukot w klawiaturę, dotkliwa samotność i piękna kobieta za ścianą, u której nie mam żadnych szans. Sąsiadka – studentka. Słyszę jej szczebiot zachwytu, kiedy opowiada matce o pierwszych chwilach samodzielności – dorosłości. Egzaminach, które wydają jej się najważniejsze na świecie, nowo poznanych chłopcach, tych przystojnych i tych nachalnych, perspektywach na przyszłość i zawiązanych przyjaźniach od teraz na zawsze. Matka, jeśli zna życie, pewnie kiwa głową, cieszy się z powodzenia towarzyskiego córki, trochę jej zazdrości i trochę obawia o możliwość przedwczesnego zajścia w ciążę. Myśli też o swojej młodości, innych chłopcach, których miała, zastanawia się, co by było, gdyby, i widzi też swoją latorośl w sukni ślubnej, potem siebie jako babcię, wiedząc, że jest to naturalna kolej rzeczy, a jednocześnie dopada ją specyficzna nostalgia za tym, co nigdy nie zaistniało, i tym, co już nigdy nie wróci.

Tak to przynajmniej widzę przy szklaneczce bourbona.

Na stole leży zaproszenie na ślub i wesele. Oczywiście z osobą towarzyszącą, bo na wesela nie chadza się samemu. Tylko z kim tu pójść, skoro od lat nie utrzymuje się kontaktów z dawnymi koleżankami, a jedyne kobiety widziane regularnie to lubelskie cichodajki, z których, niestety, żadna się nie nadaje.

Eks-dziewczyny? Poetka, nimfomanka, Matka Polka. Trzy emanacje kobiecości, tak różne i tak podobne. Wiara, nadzieja, miłość, te trzy...

Joasia. Niespełniona krejzółka z artystyczną duszą, głodem sławy i brakiem talentu. Poznaliśmy się na wieczorku poetyckim, gdzie ja zająłem ostatnie, a ona przedostatnie miejsce. Niezaspokojona żądza bycia głosem pokolenia doprowadziła nas do knajpy w miasteczku akademickim, gdzie postanowiliśmy zalać w trupa tę porażkę. Zaczęliśmy od rozmów o poezji, potem poszliśmy tańczyć, wymieniliśmy płyny ustrojowe i wylądowaliśmy w łóżku.

Nigdy do końca jej nie zrozumiałem, ale czy można zrozumieć kobietę, która w dodatku bywa poetką?

Któregoś dnia zostawiła mi na stole kartkę. Wiersz.

Pisała w nim, że jesteśmy zbyt podobni, by móc być razem.

Chciałem jej odpisać, że nigdy nie warto się poddawać, że trzeba próbować, nawet jeśli wszystko wydaje się świadczyć przeciw nam, że można zmienić świat, którego też jesteśmy częścią, ale...

Ale sam w to chyba nie wierzyłem, więc wybrałem zgola niepoetycki środek.

Milczenie.

Karolina. Wierzyła w miłość tak bardzo, że nie mogła nie spróbować różnych jej wariantów. Dwa lata młodszy, naiwny, natchniony, romantyczny, z jakiegoś powodu jej się spodobałem i zostałem wybrany, choć wtedy oczywiście wierzyłem, że to ja ją poderwałem, a nie odwrotnie. Była dziewczyną z moich marzeń, ideałem, do którego przez lata mogłem tylko wzdychać, nie wierząc, że pragnienie jego posiadania kiedykolwiek się ziści. Faliste rude włosy, wiecznie zdziwione piwne oczy, lekko zadarty nos i pełne usta, wręcz stworzone do całowania. I ja, maluczki,

onieśmielony, przytłoczony jej wdziękiem i seksapilem, największy szczęściarz na świecie.

Choć dzieliłem się tym szczęściem zdecydowanie częściej, niżbym tego chciał.

Nie wzbudziło moich podejrzeń to, że nigdy nie miała czasu, że zawsze musiała zrobić to, tamto, siamto, zawsze wówczas, gdy chciałem porozmawiać o nas. Aż w końcu zastałem ją pod prysznicem, robiącą gałę sąsiadowi z pokoju obok. Myślałem, że zabiję chuja, ale musiałbym wtedy zabić też połowę akademika.

W końcu nie wiadomo, w którym ciele kryje się wymarzony książę z bajki.

A nadzieja umiera ostatnia.

Kasia.

Kochała mnie. Bezinteresownie, szczerze, bezgranicznie. Pisałem jej wiersze, słałem kwiaty, podrzucałem prezenty. Słodycz łała się z gestów, słów, marzeń i planów. A przecież poznaliśmy się w wyniku przypadku i nic innego nie miało rządzić naszymi późniejszymi losami.

Przypadek wybrania tych samych studiów. Przypadek trafienia do jednej grupy. Przypadek bycia wolnym.

I wiara w przeznaczenie.

Mieliśmy się idealnie dopełniać, skończyć studia, pracować razem, mieć dzieci, przyjaciół, małe mieszkanko zawalone książkami, ścianę pocztówek z różnych krajów, wspólne zdjęcia próbujące uwiecznić chwile.

Mieliśmy.

Aż rozdzieliła nas moja głupota.

Każdy wiedział, że na piątym roku nie ma co ryzykować dyskusji z Biernackim, tym starym głupcem śliniącym się na widok studentek i uprzykrzającym im życie, zanim dostaną upragnione dyplomy. Każdy oprócz mnie.

Piąty rok. Koniec pewnego etapu, początek następnego. Jednocześnie upragniony i wzbudzający lęk moment przejścia.

Dla mnie – przejścia między życiem a śmiercią.

Najpierw ojciec, potem matka.

Dwie najdroższe osoby w ciągu miesiąca.

Puste mieszkanie, środki uspokajające i poczucie winy, które nie mogło zgasnąć.

Próbowała mnie pocieszać, choć nie z nią chciałem wtedy porozmawiać.

Lilla. Drżące ręce. Próba telefonu. Jedna, druga.

Cisza.

Obojętność.

Rozpacz.

A potem wściekłość i wrzask. Widok śliniących się warg i dłoni Biernackiego sunących po jej plecach. Gest klepięcia w tyłek i szyderczy uśmiech skierowany w moją stronę. „Co ty na to?” – pytał wzrokiem.

Pamiętam tylko ten gniew, piski jej i innych, krew na rękach i rżenie tego chuja. Od kolegów i policji dowiedziałem się, że wybiłem mu dwa zęby, złamałem nos i nabiłem śliwy pod oczami. I tak miał szczęście.

Oczywiście nikt nie mógł ani nie chciał potwierdzić mojej wersji wydarzeń. Komisja dyscyplinarna jednogłośnie uznała mnie za wykolejeńca, przed którym bramy uczelni powinny być na zawsze zamknięte.

Oprócz tego trzy tysiące złotych grzywny na dobry start i sakramentalne: „Jak mogłeś mi to zrobić?”.

Zostałem sam.

Ktoś jeszcze?

No przecież.

Ona.

Lilla. Jak bohaterka dramatu Słowackiego, którego nigdy nie przeczytała, bo albo nie miała czasu, albo była zajęta czymś innym. Na jedno wychodzi. Martwa tradycja umarłego narodu, bo tamci Polacy odeszli bezpowrotnie w przeszłość. Sarmaci. Mości panowie. Szlachta. Ziemiaństwo. Ułani. Skamandryci. Polacy.

Przetrzebieni najpierw w trzydziestym dziewiątym, potem mordowani systematycznie przez sześć lat okupacji, z kulminacyjną masakrą w czterdziestym czwartym i do-rznięciem w katowniach ubecji. Oni. Którym zabrano ziemię, marzenia, godność, granice, życie. Oni. Potomkowie rycerzy spod Legnicy, zdobywców Moskwy, obrońców Wiednia i Warszawy.

I my. Wiecznie milczący, wiecznie anonimowi. Tutejsi. Schamieni. Bez godności, bez głosu, bez refleksji, bez myśli. Stworzeni prikazem Stalina, zastraszeni, wstrząśnięci, zmieszani i przeniesieni do Falkenburgów, Landsbergów i Stettinów, na „swoje”. Żywa tkanka nowego narodu. Wypełnienia po powstałej luce.

Jestem Polakiem, bo mam obowiązki polskie. Nażreć się, nachlać, zapłacić podatki, kibicować naszym i potem krzyżeć „nic się nie stało”, zagłosować na kogo trzeba, spółdzić dziecko i wysłać je na studia, a potem do Anglii, czekać trzy lata na wizytę u lekarza specjalisty i nie narzekać, nie narzekać, bo jest pięknie, jesteśmy fajni, a gdzie indziej jest gorzej. I zasnąć, zapomnieć, tak jak zapomnieliśmy o Lwowie, o Wilnie, o Grodnie, o Nowogródku, o Pałacu Saskim i Brühla w Warszawie, o tysiącach pomordowanych w najokrutniejszy sposób na Wołyniu, o naszej mocarstwowości, tej dawnej i tej projektowanej, i godności, której wyzbywamy się jak utrzymanka tego, kto lepiej płaci.

Nie ma polskości bez pamięci. Bez Słowackiego. Bez Mickiewicza. Nie ma polskości bez Tuwima, Lechonia, Krasińskiego i Kochanowskiego, bez wspomnienia Moskwy za Żółkiewskiego i za Napoleona, bez wszystkich powstań, tych w Polsce i tego na Syberii, bez San Domingo, bez szosy zaleszczyckiej i bez sprzedajnych kurew w mundurach generalskich z obcymi dystynkcjami. Bez wybaczenia i bez chęci zemsty. I pańskiej wyższości, nakazującej wypowiadać sakramentalne „spierdaj”, kiedy ktoś obcy usiłuje wprowadzać tu swoje porządki.

Ale tego już nie ma.

Lilla – jest.

I naprawdę miałem nadzieję, że tym razem się uda.

## *Wszystkie były Klakiera*

Klakier, Klakier się żeni. Imprezowy król miasta K., pierwsza szklanka Czernobyła i jeden z liderów naszej paczki.

Nie potrafię nawet zliczyć, ile alkoholu wypiliśmy razem, pewnie dlatego, że zawsze gdy się pojawiał, ogarniał nas pijacki szal, który tylko on jeden potrafił wyzwolić. Zawsze uśmiechnięty, z nieodłącznym luzem, dobrze wyposażonym portfelem, tysiącem powodów do golnięcia i bon motami na każdą okazję:

„Kto nie pije, ten z policji”.

„Jeszcze się taki nie urodził, co by całe życie trzeźwy chodził”.

„Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr”.

„Nigdy nie ufaj abstynentom”.

Był istnym katalizatorem pijaństwa, melanżowym zapalnikiem, jednym słowem: mistrzem w swoim fachu. Nieocenione były też jego zdolności krasomówcze oraz umiejętność konstruowania ściem i wymówek na każdą okazję, z których wielokrotnie zdarzało nam się korzystać.

- Jesteśmy w lesie, kręcimy film.
- No chyba nie porno?!
- Nie, horror.
- O czym?
- Dowiesz się, jak obejrzysz.
- I pewnie wrócisz późno?
- Horrorzy zazwyczaj kręci się w nocy.
- To już mnie nie budź.
- Dobrze, kochanie.

I pozamiatane.

Ale co było w tym wszystkim najciekawsze, Klakier za każdym razem, kiedy doprowadzał się do stanu „wtórnej szczęśliwości”, czyli upojenia alkoholowego, zapewniał nas, że tak naprawdę pić nie lubi, ale każde takie spotkanie jest dla niego pretekstem do kontynuowania przyjaźni, poznania granic własnej wytrzymałości i ułożenia sobie w głowie priorytetów na przyszłość.

A my tylko machaliśmy ręką, słysząc to bajanie.

Dobro i zło, miłość i przyjaźń, pacholeństwo i dojrzałość, trwałość i przemijanie – wszystko to składa się na litanię, którą odmawialiśmy i odmawiamy dzień w dzień, z miesiąca na miesiąc, rok w rok, zmieniając jedynie rozłożenie akcentów i nazwy czczonych bogów. Raz chcemy mieć przyjaciół na całe życie, potem trochę nam się odmienia i wystarcza jedynie miłość na wieki. W międzyczasie myśli się też o zrzuceniu dziesięciu kilogramów bez ćwiczeń i wygrananiu miliona w totolotka, oczywiście przy końskim zdrowiu, mocarnej wątrobie oraz jurności nastolatka. I tylko jedna rzecz właściwie się nie zmienia – czy jest nam dobrze, czy źle, chcemy mieć więcej od życia, niezależnie od tego, czy obiekt naszych westchnień jest policzalny, czy też nie.

Młodość domaga się wszystkiego, najlepiej natychmiast, dojrzałość skupia się na konkretach, gdyż wie, że nie warto tracić czasu, a starość bierze to, co się przytrafia, z dobrodziejstwem inwentarza. Rzadko zdarzają się ludzie, którzy łamią powyższe schematy, i nie tylko nie są igraszką własnych namiętności, życzeń i pragnień, ale potrafią opracować perfekcyjny plan na siebie i realizować go z metodyczną, zamordystyczną wręcz konsekwencją.

A jednak poznałem dwoje takich ludzi, którzy w dodatku tworzyli przez pewien czas parę.

Filozofią życiową Klakiera była mądrość etapu. Miał swoje cele, które realizował, pragnienia, do których dążył, i robił to za wszelką cenę, wbrew przeciwnościom zewnętrznym i ograniczeniom własnym. Za wszelką cenę, ale z chirurgiczną precyzją. W odpowiednim miejscu, w wybranym przez siebie momencie.

Nigdy nie spotkałem drugiego człowieka, który tak mocno wierzyłby w siebie. I w niczyj upadek tak bardzo nie wątpiłem.

Ale po kolei.

Swego czasu myśleliśmy, że nigdy nie wda się w związek damsko-męski. Interesowało go wyłącznie tu i teraz. Całonocne melanże, alko, trawa, rozmowy o życiu, bujanie się z przyjaciółmi, ale też niezobowiązujące przygody – uderzenie w ślimaka, łodziki zaliczony w szkolnej toalecie na studniówce czy poznanie anatomii kilku koleżanek z roku. I tyle. Wszelkie dyskusje o zaangażowaniu w trwały związek zbywał machnięciem ręką i krótkim: „Do niczego mi to niepotrzebne”. Nawet Alfa był wówczas bardziej romantyczny, z czego zresztą, jak to on, czerpał profity.

Ale jak to w życiu bywa, znienacka uderzył go piorun i pojawiła się ona – Ola.

Umówili się na randkę, zamieniwszy wcześniej kilka zdań przez Internet. Traf chciał, że odwiedziłem wówczas na kilka dni Warszawę i zatrzymałem się u niego, co pozwoliło mi być świadkiem innego wydarzenia.

W dniu, w którym poznał ją na żywo, po raz pierwszy ujrzał też wariata. Ich spotkanie było tyleż niespodziewane, co oczywiste, a przynajmniej ja tak to widzę, po zastosowaniu odpowiednich filtrów w postaci wódki, która wszystko zrozumie, papieru, który wszystko przyjmie, czasu, który wszystko wybaczy, i niepamięci, która wszystko wygładzi.

Co powoduje, że w oczach drugiego człowieka stajemy się niezrozumiali, nieprzystający do rzeczywistości, oddaleni od normy tak bardzo, że wszelkie spojwa z tkanką społeczeństwa zostają zerwane? Jaką granicę trzeba przekroczyć, by nieodwołalnie skazać się na ostracyzm, mimo niezłamania praw ludzkich i boskich? Granicę własnej jaźni czy granicę formy, kształtującej duszę w ciele?

Bo cóż innego jest lepszym wyznacznikiem szaleństwa od nieprzystawalności treści do formy, oddzielenia zwyczajnego wyglądu od słów pozbawionych logicznego sensu i obłądnego spojrzenia miotanego wokół? A przecież to właśnie stało się i moim udziałem, udziałem świadka tej sytuacji, w której jeden element wyraźnie nie pasował do reszty i był przez tę resztę odrzucony.

Ta niebanalność banału, odrzucenie kliszy, poraziła mnie do głębi. A przecież była to tak zwyczajna sytuacja. Podróż metrem z pracy do domu, droga przemierzana setki razy w roku, znane na pamięć komunikaty, wejścia i wyjścia. A tu nagle – on.

Pamiętam, że na którejś stacji zwolniło się kilka miejsc siedzących i zmęczony kilkugodzinnym zwiedzaniem miasta postanowiłem spocząć na wolnym siedzeniu. Obok mnie i Klakiera zajął miejsce pasażer, jeden z tysięcy warszawiaków i słoików przemierzających tę trasę z południa na północ stolicy. Ubrany zwyczajnie, ciuchy około dwuletnie, kurtka niezbyt modna, ale akceptowalna, zresztą była godzina piętnasta z minutami, nie czas ani pora, by wyciągać najlepsze rzeczy z szafy, wybierając się na randkę. Włosy umyte na oko ze dwa dni temu, twarz wybitnie polska, uciekająca od wschodniego kanonu bandyckiej mordy w kierunku zachodniej ogłady, ale wciąż jedynie na dobrej drodze, niemożliwa zrealizować w pełni obiektu swego zapatrzenia. Ale...

I tu nastąpił moment przełamania. Z ust wypadło słowo, jedno, drugie, trzecie, wszystkie niedorzeczne i żadne niemające związku z danym momentem, sytuacją, miejscem. Jak opowieść o gwałcie na rodzinnym spotkaniu. Wówczas spojrziałem mu w oczy i wiedziałem już wszystko. Ten człowiek jest pomylony. Oczy – zwierciadło duszy, myśl wypowiedziana setki lat temu i obrócona przez to w banał, ale wciąż zachowująca ostrość i aktualność przy odpowiednich proporcjach. Co w nich zobaczyłem? Trudno to ubrać w słowa. Na pewno niezrozumienie, ale i głębię, nieprzystawalność i pustkę, w tym sensie, że nie widziałem tam duszy. Ujrzałem za to szaleństwo.

A jednak to szaleństwo rozpaczliwie poszukiwało kontaktu, punktu odniesienia. Z zasady było to niestety niemożliwe, nic porozumienia została zerwana już na samym początku, w momencie wypowiedzenia pierwszego słowa.

Tłum podążył za mną w odczuciach. Ludzie odwracali wzrok albo wlepiali ślepią we mnie i Klakiera, czekając z ciekawością, jak rozwinie się sytuacja. A on, szukając kontaktu, rozpoczął swoją nawijkę. Najpierw padła wzmianka o Dodzie Elektrodzie, potem zaczęło się narzekanie na ten sam tłum, który jednoznacznie go osądził i z którym tak bardzo chciał się zintegrować.

Najbardziej boli niespełniona miłość.

A potem zwrócił się do nas. Widząc niebieską teczkę na dokumenty, zniemacka zapytał:

– To już doktorat? – jak gdyby przewidując moje dawne marzenia.

Skąd mógł wiedzieć? Czy wystarczyło mu jedno jedyne spojrzenie w moje oczy? Co było decydujące – szaleństwo czy intuicja? Nie wiem i pewnie nigdy się nie dowiem. Pomyleńcy i dzieci ponoć wiedzą więcej, tak jak poeci

zresztą. Nikt nigdy nie obalił tych romantycznych mitów, ale też nie dowiódł ich prawdziwości. Zajmą się tym pewnie przyszłe pokolenia filozofów, psychologów i filologów, i zapewne znów zatrzymają się pod niewidoczną ścianą, bogatsi o spekulacje, urwane wątki i interpretacje, których nie będzie można do końca potwierdzić. W końcu doświadczenie ustąpi miejsca młodości, niepodważalne tezy zostaną szybko obalone, ściany sław przyjmą kolejne portrety, nauka przybliży się do kolejnych rozwiązań, ale człowiek nigdy nie będzie mógł w pełni zrozumieć drugiego człowieka. Zwłaszcza gdy mózg usmażył mu się na jajecznicę.

Gibając się w przód i tył, nietypowy bohater komunikacji miejskiej zapytał jeszcze Klakiera o chęć kupna mieszkania, bo ma jedno, które chce opchnąć.

Odpuściliśmy. Klakier wstał i po chwili obaj skierowaliśmy się do wyjścia, choć nasz docelowy przystanek był parę stacji dalej.

Kilka godzin później zbliżył się czas innych rozstrzygnięć.

Tym razem nie dla mnie. Resztę znam tylko z opowieści.

Kiedy się poznali, oboje podświadomie odczuwali, że coś z tego będzie, może nie na długo, ale jednak intensywnie. Wszystko wydawało się jednym logicznym ciągiem, od spijania sobie słów z dzióbek w restauracji, przez gorączkowe pocałunki na przystanku autobusowym, aż po trzy dni spędzone w łóżku, kiedy na przemian motywowali się do dalszej seksualnej aktywności. A ta przybierała czasem różne formy.

Wyobraźmy sobie taki dialog. On i ona, świeżo po kłótni, a właściwie w jej fazie wygasającej. Zaczyna on:

- Powiedz to.
- Nie.
- OK, w takim razie nie mam czego tu szukać.

– Nie, ja... Masz rację, przepraszam – powiedziała po dłuższej pauzie z przelęknieniem w oczach.

Patrzył przez chwilę na jej nagie ciało, zastygłe w paroksyzmie wstydu zmieszanego ze strachem.

– I co teraz? – spytała, drżąc.

– Nic. Mam nadzieję, że oboje będziemy mądrzejsi.

Westchnęła z wyraźną ulgą.

– A czego się spodziewałaś?

– Że będzie karny anal.

– Co?!

– No, wiesz, anal, taki zniecka i bez lubrykantu.

Opadła mu szczeka, ale ciekawość domagała się większej liczby szczegółów.

– Rozumiem, że twój były tak robił?

Kiwnęła głową.

– Za każdym razem gdy się kłóciliście?

– Nie, za każdym razem gdy zaczynałam kłótnię i nie miałam racji.

– Czyli często?

– Potem starałam się tak często nie kłócić.

I chyba dobre wspomnienia do niej wróciły, bo nie minęło piętnaście minut, a już domagała się analnej penetracji. Z lubrykantem, rzecz jasna.

Ja pamiętałem ją jednak z innej strony. Miała najfajniejszy uśmiech na świecie. Nie najpiękniejszy, nie najbielszy, nie najbardziej urokliwy, ale najfajniejszy. A śmiała się często i gęsto, bo miała poczucie humoru podobne do naszego. Zero politycznej poprawności, ostra szydera z polityki, polskości, europejskości, ogólnoludzkich wad, przywar i natręctw, pogarda dla autorytetów. Nie istniały dla nas świętości, może dlatego że sami uważaliśmy się za wybitnych, a może powód był znacznie prostszy – w dzisiejszym

świecie nie ma już chyba miejsca na ideały, zwłaszcza wtłoczone w delikatną ludzką powłokę.

Niektóre nasze laski tego nie rozumiały i robiły nam bębę za to, że śmiemy śmiać się z papieża, Kościoła, telewizyjnych dziadów i najważniejszych wydarzeń współczesności. A my mogliśmy jedynie śmiać się jeszcze głośniej, bo tylko to nam pozostawało, gdy widzieliśmy miałość i nędzę tych wszystkich ludzi siedzących na złotych stołkach i z tej pozycji mówiących nam, jak mamy żyć. Ubecy przekształceni w biznesmenów, otyli księża prawiący o skromności, donosiciele kontrolujący obiektywizm mediów, antysystemowi buntownicy kierujący prorządowymi instytucjami, moralści bez rodziny. Autorytety od prawa do lewa, wycierające sobie gębę Europą, a przez poprzednie czterdzieści lat życia zaangażowane w obronę systemu sprowadzonego prosto z Azji. Noszące złote zegarki, drogie garnitury, z implantami zamiast zębów, żonami zrobionymi przez chirurgów, daczami na Florydzie czy Lazurowym Wybrzeżu. I my, potomkowie klasy robotniczej, z głowami pełnymi pomysłów skutecznie zablokowanych przez ich regulacje i zaprowadzony ład, *pax postcommunistica*. My, zmuszani do emigracji i szukania szczęścia w Europie, tej prawdziwej, lepszej, z którą przez ostatnie czterdzieści pięć lat walczyliśmy, by potem paść w jej objęcia. My, Słowianie, z nieodłącznym talentem do improwizacji i jednoczesną niemożnością radzenia sobie ze skurwysyństwem paktów międzynarodowych oraz wyhodowaną u siebie piątą kolumną, zbyt łatwo wybaczącą i zawsze gotowi do pomocy.

I budzący się następnego dnia z chujem w dupie.

Więc co nam pozostawało? Wódka, szydera i „jakoś to będzie”. I jakoś to było. A jej maleńkie ząbki błyszcząły w barowym, przytłumionym świetle, kiedy z prawa i lewa

padały nasze złote myśli, implikowane przez jej niby to nieświadome, ale jednak celowe pytania.

- Kabanos, a jak to było jak odwiedziłeś Iran?

- Przecież wiesz. Piękne zabytki, opancerzone kobiety i dokuczliwy brak alkoholu.

- A Irańczycy?

- Poznałem niewielu, ale co jak co, najlepszy był nasz przewodnik. Sympatyczny, uczynny, bardzo lubił naszą grupę, wiadomo, coś tam zarobił dodatkowo, ale ta sympatia była jednak nieprzypadkowa, o czym dowiedzieliśmy się ostatniego dnia wycieczki. Wtedy to otworzył się przed nami i powiedział, że bardzo, ale to bardzo lubi Polaków. My, zaskoczeni i nieco zdeorientowani, zapytaliśmy dlaczego, na co otrzymaliśmy odpowiedź: „Jak to? Przecież zabiliście najwięcej Żydów”. I zapadła cisza. Bo sama powiedz, co można mu było w tej sytuacji odpowiedzieć? Że to nie my, to Niemcy? Przecież wtedy przestałby tak lubić nasz naród, co dla szanującego się Polaka byłoby niedopuszczalne. W końcu kochamy być uznawani na świecie, nawet jeśli to, co o nas mówią, jest nieprawdziwe. I wtedy pomyślałem też jeszcze, że ci wszyscy przybysze z Bliskiego Wschodu nieprzypadkowo omijają nasz kraj szerokim łukiem. Nie chodzi tu nawet o biedę, która jest, i socjal, którego nie ma, ale prosty, choć zafałszowany przekaz. Jeżeli Holokaust wydarzył się u nas, a my nic z tym nie zrobiliśmy (co oczywiście jest nieprawdą, o czym my dobrze wiemy, ale świat już nie), to... To może lepiej nie zmieniać ojczyzny na ten kraj w środku Europy, w którym tyle razy działy się niebezpieczne i straszne rzeczy.

Ola. Była żywym dowodem na to, że w szaleństwie jest metoda. Studentka psychologii, sukcesywnie próbująca nas

wszystkich rozgryźć, z niepohamowanym temperamentem, imprezowym zacięciem i zaostrzonym językiem, stała się nieodłączną towarzyszką naszych pijackich eskapad, akceptowaną przez wszystkich, nawet Skałę i Psa, stawiających największe wymagania przedstawicielkom płci przeciwnej.

Niebędącym w ich zasięgu.

Ale Ola spełniła nawet ich wyśrubowane normy. Ambitna bestia z planem na siebie. Miałem czasem wrażenie, że traktowała ludzi jako materiał do swojej pracy dyplomowej, której tytułu nigdy nie chciała nam zdradzić.

Ale nie dało się jej nie lubić, sympatycznej wariatki z oryginalnym zmysłem estetycznym, każącym dostrzegać piękno w krasnalach ogrodowych i snuć refleksje o kondycji ludzkiej podczas seansów horrorów o zombie. A oprócz tego lubiła dobrą muzykę, czyli ciężkiego rocka, wielokrotnie wyciągała Klakiera i resztę na organizowane w Warszawie tego typu koncerty.

Aż któregoś dnia Klakier wyjechał na półtora miesiąca do UK na kurs językowy. Chciał ją wyciągnąć ze sobą, ale przedłużyła jej się sesja i zwyczajnie nie dała rady. Tak oto skończyła się ta historia, bo kiedy wrócił, nie miał już dziewczyny. Napisała mu esemesa, że nie ma to już sensu i lepiej zostać przyjaciółmi.

Odpisał jej, że do kawiarni nie wchodzi się po to, by wachać kawę, ale ją pić.

Wracając ostatnim tramwajem do siebie, po raz kolejny spotkał wariata z metra. Wyraźnie wzburzony, kpił z reszty pasażerów, wytykając im, że muszą chodzić do pracy, podczas gdy on ma rentę za swoje szaleństwo. Nigdy nie miał ochoty bardziej komuś jebnąć, ale się powstrzymał.

Ciuchy i resztę rzeczy przesłała mu pocztą.

Nigdy więcej jej nie spotkał, za to od kumpla pracującego w firmie sprawdzającej oryginalność prac dyplomowych wyciągnął tytuł jej magisterki. *Wpływ motywacji seksualnych na ambicje zawodowe młodych mężczyzn. Studium przypadku.*

Nie ma to jak się dowiedzieć, że przez długi czas było się królikiem doświadczalnym. I nie wiedzieć, co z tego działa się naprawdę.

Kolejna próba była lekkim obniżeniem lotów, przynajmniej w naszych oczach. Choć w sumie nigdy nie wiesz, kto tak naprawdę jest po drugiej stronie.

Miała na imię Beata i pracowała jako księgowa w którejś z warszawskich korpo. Nie wyglądała na brzydką, ale ładna też nie była. Ot, nic nadzwyczajnego, ani pod względem urody, ani charakteru. Na czole mogła sobie wytatować napis „przeciętność”, a i tak mało kto by go zauważył. Wpisywała się w tłum równie dobrze jak wałki w kreatywną księgowość polskiego budżetu.

Poznał ją w tramwaju jadącym na Pragę, kiedy najpierw przez pół godziny prowadziła jakąś trudną rozmowę telefoniczną, prawdopodobnie z byłym już chłopakiem, a potem wybiegła zapłakana, nie widząc poza swoimi łzami bożego świata, co przyczyniło się wydatnie do potknięcia się o kostkę chodnikową i bolesnego upadku. Pomógł jej pozbierać się do kupy, odprowadził do domu i pocieszał, jak mógł, aż wylądowali w łóżku.

A że – jak mawia Pies – najlepszym pocieszycielem jest pompa, Beata z Pragi szybko zapomniała o swoim byłym i zadurzyła się w Klakierze na śmierć.

Był dla niej przybyszem z innego świata, przepustką do normalności i bycia kimś lepszym. I choć wymarzony książę z bajki nie pochodził z Monako, lecz K., i nie miał

za kolegów bogoli, ale wrogów abstynencji ze Wschodu, to stał się dla niej ucieleśnieniem wyprostowanego życia, z dala od patologii, brutalności i bicia. Księciem normalności.

Choć nie można było powiedzieć, że całkowicie uciekła od demonów przeszłości. Miała zaciętą twarz i dziwną gwałtowność ruchów, która zawsze wywoływała we mnie pewne obawy. Kiedy znajdowała się w kuchni, nie wiedziałem, czy poda mi szklanekę z wodą, czy wbije mi nóż w serce. Choć może była to moja prywatna paranoja.

Zawsze kiedy na nią patrzyłem, w myślach zadawałem sobie pytanie, kiedy tak naprawdę jesteśmy sobą i kto ma decydujący wkład w naszą osobowość. Czy możliwa jest ucieczka od patologii zakodowanej w umyśle oraz kodzie genetycznym i ponadto wchłanianej z każdym dniem spędzonym w bramach wśród ludzi ulepionych z krwi i błota? Czy córka pijaczki i kurwiarza, wychowana przez dziadków na porządną osobę w najgorszym rejonie Warszawy, może stać się pełnoprawną obywatelką, dobrą żoną i matką, przekazicielką pozytywnych wartości? A może zawsze tkwić w niej będzie ta skaza, rysa na krystalicznej tafli istoty społecznie doskonałej, każąca pewnego niespokojnego dnia puścić się z pierwszym lepszym szmaciarzem napotkanym po drodze, który będzie pił i bił, ale też kochał i zazdrościł do szaleństwa. A potem płakać i żałować, ale nie dać się wypuścić z jego rąk. I patrzeć na swoją zmęczoną, przedwcześnie postarzałą twarz, i widzieć brud pijackiej meliny, i myśleć o innym, lepszym życiu, tak bliskim i namacalnym, że niemożliwym do wyobrażenia. W bezrefleksyjnej ciszy czekając na jego powrót, zwiastowany wulgarnym bełkotem słyszonym już z ulicy. Bo jest patologia, która milczy, i patologia, która krzyczy.

W opowieściach Klakiera zdumiewał mnie jej swoisty upór i nieprzewidywalne, wręcz karykaturalne pomysły na siebie. Któregoś dnia zapisała się na wykład motywacyjny prowadzony przez „wybitnego mówcę specjalistę”, za którą to przyjemność zapłaciła trzysta złotych. I wszystko fajnie, mowa została wysłuchana, mózg dostał odpowiednią porcję, motywacje obudziły się, ale jedynym tego efektem było ciasto, przygotowane i upieczone o drugiej w nocy, specjalnie dla Klakiera. Jedyny problem polegał na tym, że proces jego produkcji obudził nie tylko Klakiera, ale i resztę współlokatorów, i wyszła z tego ogromna chryja. A ciasto koniec końców okazało się zakalcem.

Przesiedzieli ze sobą prawie trzy lata, wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały na zbliżający się moment wymiany obrączek, aż tu nagle pieczołowicie budowany związek rozleciał się na kawałki. Pewnego dnia miała się wprowadzić do niego z całym swoim majdanem. Wyczyścił pokój, kupił dodatkową szafę i czekał na umówioną porę. Minęła godzina, dwie, trzy, i wciąż jej nie było. Dzwonił, pisał, zero kontaktu. Pojechał do niej – drzwi były zamknięte, ale słyhać było kogoś w środku. Wreszcie drzwi otworzył mu kark, jej były, który natychmiast pociągnął go ze łba i oznajmił, że Klakier może zapomnieć o szczęśliwym zakończeniu związku, bo ktoś tu wreszcie wrócił z więzienia, na swoje, a jeśli coś mu się nie podoba, to inaczej mogą porozmawiać. Siła tej argumentacji przekonała go do odejścia.

W duchu postanowił jednak walczyć o tę miłość, słusznie uważając, że należy mu się od niej przynajmniej kilka słów wyjaśnienia. Jedynym pewnym miejscem, gdzie mógł ją spotkać bez nadzieania się na patolkę, było biuro w Mordorze na Domaniewskiej, i tam też udał się

następnego dnia w porze lunchu. Instynkt go nie zawiódł – spożywała obiad z koleżankami. Widząc Klakiera, zmieszła się nieco, jednak szybko odeszła od stolika i wyszła na zewnątrz, stwarzając pozory pilności. Wzrokiem uciekała w bok, nie chcąc patrzeć na opatrunek na jego nosie i udając, że nigdy nic się nie stało. Wzbraniała się przed pocałunkiem. Z trudem przeszedł nad tym do porządku i zapytał:

– Czy ten człowiek zmusił cię do czegoś?

Cisza.

– Kto to w ogóle jest? Skąd ty go znasz?

– No, to mój... były... chłopak. Krystian. Wrócił... siedział...

– I wróciłaś do niego, tak po prostu?

Cisza.

– Co się w ogóle stało? Dlaczego milczysz? Nie kochasz mnie już? – zapytał znowu.

– Nie... ja... nie chcę z tobą rozmawiać.

– Jesteś mi winna chociaż tyle.

Kobięcy płacz, jego dłoń zaciśnięta na jej ramieniu i zdziwione spojrzenia korpuludzi za szybą. Prawie jak kino domowe.

– Chciałam ci powiedzieć... Nie wiedziałam, że wyjdzie wcześniej. Nie myślałam, że się zmieni. Ale się zmienił! Nie mogę go teraz zostawić, muszę dać mu szansę.

– A co z szansą dla mnie? Przecież to mnie zostawiasz!

– Uwierz mi, tak będzie lepiej. On jest niebezpieczny, zrobi ci krzywdę.

– Przecież jest policja w tym kraju, on jest po wyroku, więc też powinien uważać, zresztą możemy się przeprowadzić do innej dzielnicy...

– Nie.

- Dlaczego nie? Nie kochasz mnie już?

- Nie wiem.

- Jak to nie wiesz? Jeszcze dwa dni temu kochałaś się ze mną i miałaś się przeprowadzić do mnie, a dzisiaj nie wiesz nawet, czy mnie kochasz?

- To nie takie proste.

- Co nie jest proste? Odpowiedź twierdząca czy przecząca?

- Ja... Muszę mu pomóc, nie mogę go tak zostawić.

- Czyli trzy lata spędzone razem to była jakaś fikcja?

- Dlaczego tak mówisz?

- A dlaczego ty nagle nie dajesz znaku życia i spędzasz noc z jakimś kryminalistą, który okazuje się twoim byłym? Spałaś z nim wczoraj? Tak czy nie? Odpowiedz mi chociaż na to pytanie?

- Ja... Tak.

- Więc rzeczywiście miałaś rację. Nie mamy już o czym rozmawiać.

- Poczekaj, ja...

- Powodzenia w przyszłym życiu! – rzucił jej na pożegnanie, a wyprostowanym środkowym palcem pozdrowił milczących obserwatorów z restauracji. By w drodze powrotnej oczywiście utkwic w kilometrowym korku.

Człowiek całe życie próbuje uciec od patologii, a ona zawsze go dogania.